



Warszawska Syrenka

NR 15 • Warszawa, VI 2026 • gazeta bezpłatna • ISSN 2956-7793

Afera Szpitala Południowego to skutek decyzji sprzed lat

Historia zaczęła się w chwili, gdy Warszawa wygasiała działalność Szpitala na Solcu, przenosząc jego potencjał do nowej placówki na Ursynowie.

Warszawę od kilku tygodni elektryzują doniesienia dotyczące Szpitala Południowego. Milionowe wynagrodzenia lekarzy, pytania o organizację Szpitalnego Oddziału Ratunkowego, audyty, zawiadomienia do prokuratury, burzliwe obrady Rady Warszawy i kolejne konferencje prasowe. Mieszkańcy zadają dziś pytanie: jak mogło do tego dojść?

Odpowiedź jest znacznie bardziej złożona, niż mogłoby się wydawać. Ta historia nie zaczęła się od jednego lekarza ani jednego koordynatora. Jej początek sięga decyzji podjętych kilka lat temu, kiedy dla uruchomienia Szpitala Południowego poświęcono jedną z najbardziej zasłużonych placówek medycznych w Warszawie – Szpital na Solcu.

To był szpital szczególny. Powstał jeszcze w okresie międzywojennym ze składek warszawiaków i przez dziesięciolecia służył mieszkańcom Powiśla, Śródmieścia i okolic. Po 1989 roku stał się pierwszym publicznym szpitalem w Polsce przekształconym w spółkę prawa handlowego, pokazując, że publiczną ochroną zdrowia można zarządzać odpowiedzialnie również pod względem finansowym.

Największą renomą cieszył się Szpitalny Oddział Ratunkowy. Nie impono-

wał architekturą ani nowoczesnymi wnętrzami, ale imponował organizacją. Dla wielu warszawiaków Solec był miejscem, gdzie po prostu wiedziało się, że pomoc nadejdzie szybko i profesjonalnie. I bez kolejki, co jak na warszawskie warunki, było wręcz niewiarygodne.

Budowa Szpitala Południowego miała być jedną z największych inwestycji zdrowotnych Warszawy. Powstał nowoczesny budynek wyposażony w najnowszy sprzęt. Szybko okazało się jednak, że szpital to nie tylko mury i aparatura. Potrzebni byli doświadczeni lekarze, pielęgniarki, kontrakty z NFZ oraz sprawnie działająca organizacja.

Wtedy zapadła decyzja, która do dziś budzi ogromne kontrowersje. Zamiast budować od podstaw nową placówkę, Warszawa postanowiła przenieść działalność Szpitala na Solcu na Ursynów. Wraz z kontraktami NFZ, oddziałami, personelem i marką szpitala.

Dla mieszkańców Śródmieścia oznaczało to utratę lokalnego szpitala. W zamian usłyszeli, że ich placówka znajduje się teraz kilkanaście kilometrów dalej. W czasach, gdy tyle mówi się o idei „miasta piętnastominutowego”, mieszkańcy Powiśla i Śródmieścia zostali zmuszeni do korzystania z innego SOR-u. Problem polegał jednak na tym, że doświadczenia nie da się przenieść administracyjną decyzją. Nie wszyscy lekarze zdecydowali się na przeprowadzkę do nowego szpitala. Część zakończyła współpracę z miejską spółką, inni znaleźli zatrudnienie w innych placówkach.

A budynek przy ulicy Solec? Od lat stoi niewykorzystany. Jeszcze niedawno leczył tysiące warszawiaków. Dziś słyszymy głównie o kolejnych analizach, koncepcjach i planach zagospodarowania. Pojawiały się pomysły stworzenia tam kliniki prowadzonej we współpracy z uczelnią medyczną z zachowaniem świadczeń finansowanych przez NFZ. Żaden z nich nie został zrealizowany. W projekcie Studium z 2023 roku znalazły się nawet zapisy, które część mieszkańców odebrała jako próbę otwarcia drogi do zmiany funkcji tego terenu. Dopiero protesty społeczne doprowadziły do wycofania tych propozycji.

Trudno oprzeć się wrażeniu, że Warszawa zapłaciła za budowę nowego



ALEKSANDRA SHEYBAL

szpitala podwójnie. Najpierw wydając setki milionów złotych na nową inwestycję, a następnie wygaszając działalność sprawnie funkcjonującej placówki w centrum miasta. Nie powstały dwa silne szpitale. Powstał nowoczesny szpital na Ursynowie i pustoszejący kompleks przy Solcu, którego utrzymanie nadal kosztuje mieszkańców.

Dlatego dzisiejsza debata nie powinna sprowadzać się wyłącznie do wysokości wynagrodzeń jednego lekarza, wyników audytów czy personalnej odpowiedzialności za wydarzenia w Szpitalu Południowym. To ważne kwestie, ale z punktu widzenia mieszkańców nie są najważniejsze. O wiele istotniejsze jest to, jak doszło do sytuacji, w której Warszawa najpierw zlikwidowała sprawnie funkcjonujący Szpital na Solcu wraz z jego Szpitalnym Oddziałem Ratunkowym, a dziś mierzy się z proble-

➔ CD. STR. 2

Odpowiedzialność za wspólnotę

Jest takie powiedzenie, że o jakości państwa nie świadczą wielkie przemówienia, lecz codzienne sprawy zwykłych ludzi. To, czy można sprawnie dojechać do pracy. Czy miasto pamięta o swoich mieszkańcach. Czy programy publiczne rzeczywiście pomagają? I czy władza potrafi słuchać?

W najnowszym numerze „Warszawskiej Syrenki” piszemy właśnie o takich sprawach. O Warszawie, która coraz częściej sprawia wrażenie miasta zarządzanego nie według realnych potrzeb mieszkańców. O pamięci, której nie można wyburzyć razem z tunelem pod Marszałkowską ani zastąpić drzewami. O kor-

kach, remontach i zwięzanych ulicach, które stają się symbolem szerszego problemu – coraz większego dystansu między decydentami a ludźmi.

Piszemy również o referendum. Nie dlatego, że jest celem samym w sobie. Referendum jest narzędziem demokracji bezpośredniej. Pojawia się wtedy, gdy część obywateli dochodzi do przekonania, że przestała być słuchana. To warszawiacy zdecydują, czy nadszedł moment na taką ocenę. Rolą prasy jest stawiać pytania, a nie wyręczać mieszkańców w odpowiedziach.

Znajdą Państwo również tekst o polity-

ce wodnej państwa. Chwalimy korzystne programy, bo dobre rozwiązania warto wspierać niezależnie od tego, kto je proponuje. Jednocześnie przypominamy, że żadna strategia nie powiedzie się bez zaufania obywateli. Państwo buduje wiarygodność nie alarmistycznymi hasłami, lecz przewidywalnością, prostymi zasadami i dotrzymywaniem własnych zobowiązań.

Warszawska Syrenka nie powstała po to, by opowiadać się za jedną modą, jednym środowiskiem czy jedną wizją świata. Powstała po to, by przypominać, że polityka samorządowa to codzienne życie mieszkańców. Bo miasto



nie jest własnością polityków. Jest wspólnym domem warszawiaków. A o dom trzeba dbać nie tylko od święta, lecz każdego dnia.

REDAKTOR NACZELNY
LECH JAWORSKI

→ CD. ZE STR. 1

mami placówki, która miała być symbolem nowoczesnej ochrony zdrowia.

Prawdziwa odpowiedzialność nie dotyczy więc jednego lekarza ani jednego dyrektora. Dotyczy władz miasta, które przez lata podejmowały decyzje prowadzące do osłabienia publicznej ochrony zdrowia w Warszawie. To odpowiedzialność za wygaszenie potrzebnej mieszkańcom placówki medycznej, pozbawienie Powiśla i Śródmieścia własnego SOR-u, niewykorzystanie ogromnego majątku komunalnego przy ulicy Solec, wieloletni brak decyzji dotyczących jego przyszłości oraz gospodarowanie publicznym majątkiem w sposób, którego skutki warszawiacy odczuwają do dziś.

Bo historia Szpitala Południowego nie zaczęła się od kontrowersyjnych kontraktów ani od ostatnich audytów. Zaczęła się w chwili, gdy uznano, że łatwiej będzie zlikwidować dobrze funkcjonujący szpital niż rozwijać go równoległe z nową inwestycją. Dzisiejsze problemy są jedynie konsekwencją tamtej filozofii zarządzania – filozofii, w której spektakularne inwestycje okazały się ważniejsze od ciągłości działania publicznych instytucji, odpowiedzialnego gospodarowania majątkiem miasta i realnych potrzeb mieszkańców.

ALEKSANDRA SHEYBAL

Ochrona sygnalistów czy fikcja?

O sprawie poinformował dziennikarz Kanału Zero Patryk Słowik, opisując historię pracownika Zarządu Dróg Miejskich w Warszawie, który – według publikacji – mimo uzyskania formalnego statusu sygnalisty oraz pisemnych zapewnień o przysługującej mu ochronie miał zostać zwolniony z pracy. Jeżeli przedstawione okoliczności okażą się zgodne z prawdą, sprawa wykracza daleko poza indywidualny spór pracowniczy i rodzi pytania o rzeczywistą skuteczność przepisów, które miały chronić osoby zgłaszające nieprawidłowości.

Ustawa z 14 czerwca 2024 r. o ochronie sygnalistów nie pozostawia w tej kwestii dużego pola do interpretacji. Zgodnie z art. 11 wobec sygnalisty nie mogą być podejmowane działania odwetowe ani nawet próby lub groźby ich zastosowania. Z kolei art. 12 wprost wskazuje, że do takich działań należą między innymi wypowiedzenie lub rozwiązanie stosunku pracy, obniżenie wynagrodzenia, pominięcie przy awansie czy pogorszenie warunków zatrudnienia.

Nieprzypadkowo ustawodawca zdecydował się na tak szeroką ochronę. Polska ustawa stanowi wykonanie unijnej dyrektywy 2019/1937, której celem było stworzenie bezpiecznych warunków dla osób ujawniających naruszenia prawa. Unia Europejska doszła do wniosku, że wiele najpoważniejszych afer ostatnich lat – od LuxLeaks, przez Dieselgate, po Cambridge Analytica – ujawniono właśnie dzięki pracownikom, którzy zdecydowa-

li się zgłosić nieprawidłowości wewnątrz swoich organizacji. Bez skutecznej ochrony sygnalistów znaczna część tych spraw prawdopodobnie nigdy nie ujrzaby światła dziennego.

Dlatego przepisy przewidują nie tylko zakaz działań odwetowych, ale również szczególny mechanizm ochronny. Jeżeli wobec osoby objętej ochroną dochodzi do rozwiązania stosunku pracy lub innego niekorzystnego działania po dokonaniu zgłoszenia, to pracodawca powinien wykazać, że jego decyzja nie pozostawała w związku z działalnością sygnalisty. Nie jest to przypadek. Działania odwetowe bardzo rzadko mają charakter otwarty. Najczęściej przybierają postać utraty zaufania, reorganizacji stanowiska, zmiany zakresu obowiązków czy innych formalnie neutralnych decyzji kadrowych. Gdyby ciężar dowodu spoczywał wyłącznie na pracowniku, ochrona przewidziana ustawą mogłaby w praktyce okazać się iluzoryczna.

Jeżeli więc medialne doniesienia okazały się prawdziwe, a rozwiązanie stosunku pracy pozostawało w związku ze zgłoszeniem nieprawidłowości lub było konsekwencją działalności sygnalisty, mogłoby to oznaczać nie tylko poważny problem wizerunkowy dla pracodawcy, lecz również możliwe naruszenie przepisów ustawy o ochronie sygnalistów.

Państwo i samorząd nie mogą jednocześnie zachęcać pracowników do zgłaszania nieprawidłowości i wysyłać sygnału, że skorzystanie z ustawowych mechanizmów ochronnych może oznaczać ryzyko utraty pracy. Ochrona sygnalistów nie może funkcjonować wyłącznie w ustawach, procedurach i materiałach szkoleniowych. Jej wiarygodność buduje się dopiero wtedy, gdy pracownik ma realne przekonanie, że zgłoszenie nieprawidłowości nie przekreśli jego kariery zawodowej.

Ostateczna ocena tej sprawy należy oczywiście do właściwych organów i – jeśli dojdzie do sporu – do sądu pracy. Jeżeli jednak opisane przez media okoliczności się potwierdzą, będzie to nie tylko problem jednego urzędnika czy jednej miejskiej jednostki. Będzie to test wiarygodności całego systemu ochrony sygnalistów w Polsce. Bo jeśli osoba objęta ustawową ochroną może obawiać się utraty pracy, to kolejne osoby mogą po prostu zrezygnować z ujawniania nieprawidłowości. A wtedy przegrywają nie tylko sygnaliści. Przegrywa całe państwo.

LECH JAWORSKI

Europa stawia na zdrowe serce. Przełomowa strategia UE dla milionów pacjentów

Nie wszystkie przełomowe decyzje trafiają na pierwsze strony gazet. Często to właśnie te, o których mówi się najmniej, mają największy wpływ na codzienne życie obywateli. Taką decyzją jest uruchomienie przez Komisję Europejską Safe Hearts Plan, czyli pierwszej w historii kompleksowej strategii UE poświęconej zapobieganiu i leczeniu chorób układu sercowo-naczyniowego. To długo oczekiwany krok, który może wyznaczyć nowy standard europejskiej polityki zdrowotnej.

Choroby serca i naczyń krwionośnych pozostają najpoważniejszym zagrożeniem zdrowotnym w Europie. Każdego roku powodują około 1,7 miliona zgonów, a z przewlekłymi schorzeniami układu krążenia zmagają się ponad 62 miliony mieszkańców Unii Europejskiej. To nie tylko ogromne wyzwanie medyczne i społeczne, ale również jeden z największych kosztów ponoszonych przez europejskie systemy ochrony zdrowia i gospodarkę. Szacuje się, że ich łączny ciężar ekonomiczny przekracza 280 miliardów euro rocznie.

Do tej pory państwa członkowskie prowadziły własne programy walki z chorobami serca, często różniące się zakresem profilaktyki, dostępnością badań diagnostycznych czy możliwościami leczenia i rehabilitacji. W praktyce oznaczało to, że szanse pacjenta na szybką diagnozę i nowoczesną terapię w dużej mierze zależały od kraju, w którym mieszkał. Safe Hearts Plan ma stopniowo ograniczać te różnice.

Nowa strategia zakłada budowę wspólnych europejskich standardów opieki kardiologicznej - od profilaktyki i edukacji zdrowotnej, przez wczesne wykrywanie chorób, po diagnostykę, leczenie oraz rehabilitację. Jej celem jest również zmniejszanie nierówności zdrowotnych pomiędzy państwami członkowskimi oraz zwiększenie dostępności nowoczesnych

metod terapii. Szczególną uwagę poświęcono grupom najbardziej narażonym na choroby układu krążenia, w tym kobietom, dzieciom oraz osobom z podwyższonym ryzykiem sercowo-naczyniowym.

Strategia opiera się na trzech wzajemnie uzupełniających się obszarach działań. Pierwszy obejmuje szeroko rozumianą profilaktykę, czyli promocję zdrowego stylu życia, ograniczanie czynników ryzyka oraz wspieranie krajowych programów zapobiegania chorobom serca. Drugi koncentruje się na rozwoju diagnostyki i wczesnego wykrywania schorzeń poprzez upowszechnianie badań przesiewowych i identyfikację osób zagrożonych. Trzeci filar dotyczy leczenia oraz rehabilitacji, ze szczególnym naciskiem na dostęp do innowacyjnych terapii, nowoczesnych technologii medycznych i cyfrowych rozwiązań wspierających opiekę nad pacjentem.

Jednym z istotnych założeń Safe Hearts Plan jest także przygotowanie przez wszystkie państwa członkowskie własnych narodowych strategii dotyczących zdrowia układu sercowo-naczyniowego. Komisja Europejska chce, aby do 2027 roku każde państwo dysponowało spójnym planem działań, co pozwoli skuteczniej wykorzystywać fundusze europejskie oraz lepiej koordynować politykę zdrowotną na poziomie całej Unii.



Material sponsorowany – Grupa EPL

Dla Polski przyjęcie tej strategii ma szczególne znaczenie. Choroby układu krążenia od wielu lat pozostają główną przyczyną zgonów, a postępujące starzenie się społeczeństwa będzie dodatkowo zwiększać liczbę pacjentów wymagających długotrwałego leczenia i rehabilitacji. Europejski plan oznacza szansę na dalszy rozwój nowoczesnej kardiologii, lepszy dostęp do diagnostyki, wykorzystanie środków unijnych oraz wdrażanie najlepszych praktyk wypracowanych przez najbardziej zaawansowane systemy ochrony zdrowia.

Safe Hearts Plan pokazuje również, że współpraca europejska może przynosić wymierne korzyści tam, gdzie pojedyncze państwa mają ograniczone możliwości działania. Choroby przewlekłe, starzenie się społeczeństw czy rosnące koszty opieki zdrowotnej to wyzwania, które przekraczają granice państw. Wspólna strategia pozwala skuteczniej finansować badania naukowe, rozwijać innowacje medyczne, wymieniać doświadczenia i budować jednolite standardy leczenia w całej Europie.

Oczywiście sama strategia nie rozwiąże wszystkich problemów kardiologii. O jej sukcesie zdecyduje przede wszystkim skuteczne wdrożenie w poszczególnych państwach członkowskich oraz konsekwencja w realizacji przyjętych celów. Nie zmienia to jednak faktu, że po raz pierwszy choroby układu sercowo-naczyniowego zostały potraktowane jako jedno z najważniejszych wspólnych wyzwań zdrowotnych całej Unii Europejskiej.



Jeżeli założenia Safe Hearts Plan zostaną konsekwentnie zrealizowane, może to oznaczać nie tylko wyższy standard opieki medycznej, ale przede wszystkim tysiące uratowanych istnień ludzkich każdego roku i znaczącą poprawę jakości życia milionów europejskich pacjentów. Będzie to również dowód, że UE potrafi skutecznie działać tam, gdzie wspólne wyzwania wymagają wspólnych rozwiązań. Zdrowie nie zna granic państwowych, podobnie jak starzenie się społeczeństw czy rozwój nowych technologii medycznych. Właśnie dlatego współpraca, wymiana doświadczeń i wspólne standardy mogą przynieść efekty, których pojedyncze państwa często nie są w stanie osiągnąć samodzielnie. Dla Polski oznacza to nie tylko szansę na lepsze wykorzystanie europejskich środków, ale przede wszystkim możliwość dalszego rozwoju nowoczesnej kardiologii i poprawy jakości opieki nad pacjentami. To jedna z tych decyzji, których skutki być może nie trafią na pierwsze strony gazet, ale za kilka lat mogą okazać się jednymi z najważniejszych dla zdrowia milionów Europejczyków.

DR ADAM JARUBAS
POSEŁ DO PARLAMENTU EU,
W LATACH 2006-2018 MARSZAŁEK WOJ.
ŚWIĘTOKRZYSKIEGO, WICEPREZES PSL,
WYKŁADOWCA AKADEMICKI

Granice Polski to nie tylko historia. To także lekcja dla współczesnej Warszawy

Granice państw często wydają się czymś trwałym i oczywistym. Wystarczy jednak sięgnąć do historii Polski, aby zrozumieć, jak złudne jest to przekonanie. Przez ponad tysiąc lat nasze granice wielokrotnie się zmieniały, a ich przebieg decydował nie tylko o bezpieczeństwie kraju, lecz także o rozwoju gospodarczym, migracjach ludności i losach milionów rodzin.

W 1939 roku II Rzeczpospolita posiadała blisko dwa tysiące kilometrów granicy z III Rzeszą. Jej długość i przebieg sprawiały, że obrona państwa była niezwykle trudna. Atak Niemiec z zachodu, północy i południa, a następnie agresja Związku Radzieckiego 17 września pokazały, jak ogromne znaczenie ma geografia. Klęska Polski wynikała z wielu przyczyn, ale położenie i kształt granic niewątpliwie odegrały w niej istotną rolę.

Po zakończeniu II wojny światowej mapa Europy została narysowana od nowa. Decyzje podjęte w Teheranie, Jałcie i Poczdamie przesunęły Polskę na zachód. Utraciliśmy Kresy Wschodnie, ale zyskaliśmy Śląsk, Pomorze Zachodnie, Warmię, Mazury i ziemie sięgające Odry oraz Nysy Łużyckiej. Nie były to jednak wyłącznie zmiany na mapie. Za nowymi granicami kryły się dramatyczne ludzkie historie.

Miliony Polaków zostały zmuszone do opuszczenia swoich domów na dawnych Kresach. Jednocześnie na tzw. Ziemię Odzyskaną napływali mieszkańcy z różnych części kraju, często niepewni, czy nowe granice okażą się trwałe. Ta niepewność przez wiele lat hamowała inwestycje, rozwój gospodarczy i odbudowę infrastruktury. Trudno inwestować całe oszczędności życia w miejsce, co do którego nie ma się pewności, czy za kilka lat nadal będzie częścią własnego państwa.

Paradoksalnie, historia pokazuje również, że najtrwalszą granicą Polski przez wieki była właśnie granica zachodnia. Przez setki lat okolice Babimostu, Międzyrzecz czy Liswarty pozostawały naturalnym pograniczem. Dopiero rozbiory całkowicie zburzyły ten porządek, a Warszawa – podobnie jak znaczna część Mazowsza – znalazła się pod panowaniem Prus.

Odrodzenie państwa w 1918 roku nie oznaczało przecież odzyskania gotowych granic. O granice II Rzeczypospolitej trzeba było walczyć zarówno na polach bitew, jak i przy stołach negocjacyjnych. Konflikty z Niemcami, bolszewikami, Ukraińcami czy Czechami pokazały, że niepodległość nie kończy się na ogłoszeniu państwa. Musi zostać jeszcze obroniona i uznana przez innych.

Po 1945 roku o losach Polski decydowali przede wszystkim przywódcy wielkich mocarstw. Stalin, Roosevelt i Churchill kierowali się przede wszystkim własnymi interesami geopolitycznymi. Polskie argumenty historyczne dotyczące ziem nad Odrą i Nysą Łużycką miały znaczenie drugorzędne wobec nowego ładu powojennej Europy. To ważna lekcja historii – los średnich państw często zależy nie tylko od ich własnej siły, lecz także od międzynarodowej równowagi politycznej.

Warszawa jest miastem, które szczególnie mocno odczuło skutki tych wydarzeń. Po wojnie stała się nie tylko odbudowującą się stolicą, ale również nowym domem dla tysięcy rodzin przesiedlonych z Wilna, Lwowa, Grodna i innych utraconych miast Kresów. To właśnie tutaj spotkały się różne doświadczenia historyczne i różne pamięci, tworząc współczesną tożsamość stolicy.

Dlatego historia granic Polski nie jest jedynie opowieścią o dawnych traktatach i wojnach. To również przypomnienie, że bezpieczeństwo państwa, rozwój miast i poczucie stabilizacji mieszkańców nigdy nie są dane raz na zawsze. Warszawa, jako stolica Rzeczypospolitej, powinna być miejscem szczególnej troski o pamięć historyczną. Nie po to, aby żyć przeszłością, lecz aby lepiej



DR HAB. LECH KRÓLIKOWSKI

rozumieć teraźniejszość i mądrzej planować przyszłość.

Historia uczy bowiem jednego: granice można wyznaczyć na mapie w ciągu kilku godzin. Znacznie trudniej zbudować poczucie bezpieczeństwa, zakorzenienia i zaufania mieszkańców do państwa, które te granice chroni. I właśnie dlatego pamięć o historii pozostaje jednym z fundamentów odpowiedzialnego myślenia o przyszłości Polski i Warszawy.

Jest w tym jeszcze jedna ważna lekcja. Granice państwa można zmienić stosunkowo szybko. Znacznie trudniej odbudować wspólnotę ludzi, którzy wraz z ich przesunięciem utracili swoje małe ojczyzny. To właśnie dlatego Warszawa stała się po wojnie miejscem wyjątkowym. Spotkali się tutaj ludzie pochodzący z różnych stron dawnej Rzeczypospolitej, niosąc ze sobą odmienne doświadczenia, tradycje i pamięć o utraconych domach. Z czasem stworzyli nową wspólnotę, ale jej fundamentem nie było zapomnienie o przeszłości. Przeciwnie – była nim pamięć. Zrozumienie tej historii pozwala lepiej pojąć współczesną Warszawę, której tożsamość nie wyrosła wyłącznie z odbudowanych murów, lecz przede wszystkim z losów ludzi, którzy po wojnie musieli nauczyć się nazywać to miasto swoim domem.

LECH KRÓLIKOWSKI



fot. Radosław Paszkowski • Fotomanufaktura

Miasto, które uczy się pamiętać

Historia granic Polski jest jednocześnie historią ludzi. Zmieniające się linie na mapie oznaczały nie tylko nowe granice państwa, lecz także utratę domów, przymusowe przesiedlenia i konieczność budowania życia od nowa. Nigdzie nie widać tego wyraźniej niż w Warszawie.

Powojenna stolica była w pewnym sensie pustą kartką. Nie dlatego, że nie miała historii. Przeciwnie, miała historię tragiczną, brutalnie przerwana. Powstanie Warszawskie i planowe niszczenie miasta sprawiły, że zniknęły nie tylko budynki. Zerwana została naturalna ciągłość pokoleń. Przestały istnieć całe sąsiedztwa, rodzinne historie, lokalne więzi i codzienne rytuały, które w innych europejskich miastach budowały się przez stulecia.

Tę pustą kartkę zaczęli zapisywać ludzie, którzy sami utracili własne korzenie. Przyjeżdżali z Wilna, Lwowa, Grodna i Stanisławowa, z Mazowsza, Podlasia, Wielkopolski, Lubelszczyzny i dziesiątek innych miejsc. Dla wielu Warszawa nie była miastem marzeń. Była jedynym miejscem, w którym można było zacząć od nowa. Nie odnaleźli tutaj swojej przeszłości. Musieli stworzyć przyszłość.

To właśnie oni odbudowali współczesną Warszawę. Nie tylko z cegieł, ale z codziennego życia. Zakładali rodziny, otwierali sklepy, sadzili drzewa, budowali szkoły, tworzyli wspólnoty sąsiedzkie. Przez kolejne dziesięciolecia mozolnie tworzyli nowe warstwy pamięci. Może mniej spektakularne niż przedwojenna Warszawa, ale równie prawdziwe. To z nich powstały nasze osobiste mapy miasta.

Spotykaliśmy się pod Cepelią. Umawialiśmy się przy Rotundzie. Chodziliśmy

do konkretnych kin, księgarni, kawiarni i sklepów, których dziś często już nie ma. Dla kogoś z zewnątrz były to zwykłe adresy. Dla warszawiaków stały się punktami orientacyjnymi własnego życia. To tam zaczynały się przyjaźnie, pierwsze randki, rodzinne spacerunki i codzienne drogi do szkoły czy pracy. Tak rodziła się nasza miejska tożsamość.

Warszawa od zawsze była miastem ludzi przyjezdnych. Ale ci, którzy przyjechali tutaj po wojnie, przestali być przyjezdnymi już dawno temu. Osiemdziesiąt lat to trzy, a czasem cztery pokolenia. To całe ludzkie życie. Wystarczająco długo, aby móc powiedzieć: „to jest moje miasto”. Nie odziedziczyli Warszawy. Oni ją stworzyli.

Dzisiaj stolica ponownie bardzo szybko się zmienia. I dobrze. Miasto, które przestaje się rozwijać, zaczyna obumierać. Przyjeżdżają nowi mieszkańcy, powstają nowe dzielnice, zmienia się architektura i sposób życia. Tak było od wieków i tak będzie również w przyszłości.

Niepokoi mnie jednak coś innego. Coraz częściej mam wrażenie, że nowe warstwy pamięci nie są dopisywane do tych wcześniejszych, lecz próbują je zastąpić. Jakby historia Warszawy miała zaczynać się od nowa wraz z każdym pokoleniem, każdą nową inwestycją i każdą kolejną wizją miasta. Jakby wszystko, co wydarzyło się po wojnie, było jedynie prowizorycznym etapem, który można bez żalu wymazać.

To nie jest zarzut wobec nowych mieszkańców. Warszawa zawsze przyciągała ludzi z całej Polski i świata. Problem pojawia się wtedy, gdy część nowych elit – politycznych, opiniotwórczych czy urbanistycznych – zaczyna patrzeć na miasto jak na projekt do urządzenia według własnych ambicji. Nie próbują odczytać Warszawy, którą zastali. Wolą napisać ją od początku.

W tej opowieści łatwo lekceważy się miejsca, które dla jednych są tylko adresami, a dla innych stanowią fragment osobistej historii. Cepelia staje się jedynie dawnym sklepem, Rotunda – tylko budynkiem, znikające kina i księgarnie – wyłącznie lokalami o niewykorzystanym potencjale. Tymczasem dla tysięcy warszawiaków były to miejsca, w których toczyło się ich życie. Zastąpienie Cepelii siecią kawiarni nie jest samo w sobie problemem. Miasta się zmieniają. Problem zaczyna się wtedy, gdy wraz z miejscem znika pamięć, a mieszkańcom odbiera się prawo do tęsknoty za własnym światem. Kiedy słyszą, że ich wspomnienia są nieważne, bo teraz miasto ma być „bardziej europejskie”, „bardziej nowoczesne” albo po prostu bardziej zgodne z aktualną modą.

Warszawa potrzebuje nowych mieszkańców, nowych inwestycji i nowych pomysłów. Ale równie mocno potrzebuje pokory wobec tych, którzy przez dziesięciolecia odbu-



ALEKSANDRA SHEYBAL

dowywali jej współczesną tożsamość. Nie można traktować ich jak kolejnej fali przyjezdnych. Mechanizm był zupełnie inny. Oni nie przyjechali tutaj dlatego, że znaleźli atrakcyjne miejsce do życia. Przyprowadziła ich historia. Stracili swoje miasta, swoje domy i swoje korzenie. Warszawa nie była dla nich kolejnym adresem. Była próbą zbudowania świata od początku.

Każde miasto potrzebuje pamięci swoich mieszkańców. Ale w Warszawie pamięć ma szczególne znaczenie, bo przez wiele rodzin została już raz utracona. To dlatego powojenne pokolenia z taką siłą przywiązały się do własnych miejsc, codziennych rytuałów i osobistych map miasta. Nie z sentymentu, lecz z potrzeby zakorzenienia. Cepelia, Rotunda, osiedlowe kino czy droga do szkoły były czymś więcej niż punktami na planie miasta – stawały się dowodem, że po utracie jednego świata udało się stworzyć następny. Miasto, które raz utraciło swoją ciągłość, nie może lekkomyślnie wymazywać także tej pamięci. Bo właśnie ona jest fundamentem współczesnej tożsamości Warszawy.

ALEKSANDRA SHEYBAL

ISSN 2956-7793

Wydawca: AKKA spółka z o.o.

www.warszawskasyrenka.waw.pl

f WarszawskaSyrenka

t WarszawskaSyrenka

e-mail: biuro@akka.waw.pl

tel. +48 785 73 07 03

Redaktor naczelny: Lech Jaworski

KRS 0000878059; NIP: 525-284-87-32

Projekt graficzny, łamanie, przygotowanie do druku – Paleta-Art – R. Paszkowski • paleta-art@post.pl

DRUKARNIA & STUDIO

OD PROJEKTU – PO DRUK

Paleta-Art
druk • prepress • fotografia

Działamy od początku 1995 roku. Pomagamy kompleksowo – od projektu, poprzez obróbkę grafiki – po druk nakładu dowolnej publikacji. Specjalizujemy się w przygotowaniu do druku i druku katalogów i periodyków.

KATALOGI • KSIĄŻKI • GAZETY • CZASOPISMA • PERIODYKI • KALENDARZE
OPAKOWANIA • ULOTKI • PLAKATY • FOLDERY REKLAMOWE • SEGREGATORY
BILLBOARDY • ROLL-UPY • REKLAMY WIELKOFORMAROWE • **FOTOOBRAZY**

Paleta-Art • ul. Czackiego 3/5 lok. 138 • 00-043 Warszawa • tel. 667 223 223 paleta-art@post.pl

Warszawa rozkopana

Warszawa od kilku lat żyje w stanie niekończącego się remontu. Utrudnienia przestały być przejściowym etapem rozwoju miasta, a stały się jego codziennością. Kolejne ulice są zamykane, pojawiają się nowe objazdy, a mieszkańcy coraz częściej mają poczucie, że stolica funkcjonuje w permanentnym stanie przebudowy. Oczywiście remonty są potrzebne. Problem w tym, że przestały przekonywać zapewnienia, iż „tak musi być”. Gdy jednocześnie rozkopane są najważniejsze arterie, a codzienny dojazd do pracy staje się próbą cierpliwości, trudno oprzeć się wrażeniu, że nad skalą i koordynacją tych inwestycji nikt już naprawdę nie panuje.

Najnowszym przykładem jest planowana przebudowa ulicy Grójeckiej. Jedna z najważniejszych arterii Ochoty ma stracić po jednym pasie ruchu w każdym kierunku. W zamian mają pojawić się szersze chodniki, więcej zieleni oraz infrastruktura rowerowa. Wszystko pod hasłami poprawy jakości przestrzeni i bezpieczeństwa.

Tylko czy każda ulica naprawdę musi być zwężona? W wielu miejscach chodniki już dziś są bardzo szerokie, a ruch pieszy nie uzasadnia ich dalszego poszerzania. Mimo to niemal każda przebudowa kończy się ograniczeniem przestrzeni dla samochodów. Zwężanie ulic zaczęło funkcjonować jako samodzielny kierunek polityki miasta. Co więcej, sam prezydent Rafał Trzaskowski zapowiedział niedawno, że takie zmiany będą kontynuowane – zwłaszcza w centrum Warszawy – ponieważ wpisują się w przyjętą wizję rozwoju stolicy.

Jeszcze kilka lat temu mieszkańcy słyszeli, że ograniczanie liczby pasów ruchu spowoduje, iż samochodów będzie mniej a ich płuca będą zdrowsze. W praktyce jednak auta nie zniknęły. Warszawiacy nadal muszą dojechać do pracy, zawieźć dzieci do szkoły, odebrać seniorów z przychodni czy dostarczyć towar do sklepów. Zmieniło się przede wszystkim jedno – coraz więcej czasu spędzają w korkach.

Problem pogłębia sposób prowadzenia inwestycji. Trwa modernizacja torowiska w Alejach Jerozolimskich na moście

Poniatowskiego, gdzie – jak się okazało – stan infrastruktury jest znacznie gorszy, niż zakładano. Wkrótce rozpocznie się przebudowa wiaduktu na Towarowej – jednego z kluczowych połączeń zachodniej części miasta. Planowane są kolejne roboty w Alejach Jerozolimskich związane z inwestycjami kolejowymi. Do tego dochodzą dziesiątki mniejszych remontów rozsianych po całej Warszawie.

Na tym jednak nie koniec. Trwa przebudowa praskiego odcinka Trasy Łazienkowskiej wraz z wiaduktami, prowadzone są prace torowe w alei Waszyngtona i na Grochowskiej, modernizowany jest Plac Narutowicza, a kolejne etapy inwestycji obejmują okolice Banacha i Ochoty. Równolegle realizowana jest budowa nowej trasy tramwajowej do Dworca Zachodniego, która ma połączyć Wolę i Ochotę z rozwijającym się węzłem komunikacyjnym. Każda z tych inwestycji z osobna może być potrzebna. Problem pojawia się wtedy, gdy wszystkie nakładają się na siebie w tym samym czasie.

Najbardziej dotkliwie odczuwają to dziś mieszkańcy prawobrzeżnej Warszawy. W praktyce coraz trudniej dostać się z Pragi na lewy brzeg Wisły. Trasa Łazienkowska jest objęta remontem, utrudnienia występują w Alei Waszyngtona, ruch ograniczają prace na moście Poniatowskiego i w Alejach Jerozolimskich, a kolejne inwestycje obejmują następne odcinki głównych

tras. W efekcie niemal każda droga prowadząca do mostów jest zakorkowana jeszcze zanim kierowcy do nich dojadą.

Dla mieszkańców Pragi nie jest to już kwestia kilku dodatkowych minut. Coraz częściej nie mają po prostu realnej alternatywy. Gdy jedna przeprawa traci przepustowość, ruch przenosi się na kolejną. Ta z kolei blokuje następną. W godzinach szczytu stoją właściwie wszystkie dojazdy do mostów, a wraz z nimi autobusy komunikacji miejskiej. Kto codziennie dojeżdża do pracy na lewy brzeg Wisły, coraz częściej ma poczucie bezsilności. Niezależnie od tego, którą trasę wybierze, kończy w tym samym korku.

Nie jest to już problem pojedynczego remontu, lecz braku koordynacji. Każda inwestycja może być uzasadniona, ale ktoś powinien odpowiedzieć na proste pytanie: czy naprawdę wszystkie najważniejsze ciągi komunikacyjne muszą być ograniczane w tym samym czasie? Trudno oprzeć się wrażeniu, że poszczególne jednostki miejskie realizują własne harmonogramy, nie patrząc na skutki dla całego układu drogowego. A cenę za ten brak koordynacji każdego dnia płacą mieszkańcy.

W tej dyskusji coraz rzadziej mówi się również o odporności miasta na sytuacje kryzysowe. Zwężone jezdnie utrudniają przejazd pojazdom uprzywilejowanym, ograniczają możliwość ominięcia kolizji czy awarii, a podczas większych remontów pozostawiają bardzo niewiele możliwości wyznaczania sensownych objazdów. Paradoksalnie więc w imię poprawy jakości przestrzeni tworzy się układ komunikacyjny coraz mniej odporny na nieprzewidziane sytuacje. Wystarczy większy wypadek, awaria infrastruktury lub intensywne opady deszczu, aby znaczna część miasta stała się w miejscu.

Nie oznacza to, że Warszawa nie potrzebuje zieleni, nowych drzew, bezpiecznych przejść dla pieszych czy nowoczesnego transportu publicznego. Potrzebuje ich równie mocno, jak sprawnego systemu drogowego. Miasto nie może funkcjonować dobrze, jeśli jedna grupa użytkowników przestrzeni jest konsekwentnie przeciwstawiana drugiej. Rolą samorządu powinno być godzenie różnych potrzeb, a nie realizowanie jednej wizji miasta bez względu na jej społeczne koszty.

Problemem Warszawy nie jest już pojedynczy remont ani jedna źle zaprojektowana ulica. Problemem staje się sposób zarządzania miastem. Coraz więcej decyzji sprawia wrażenie podejmowanych bez oglądania się na ich skutki dla mieszkańców. Brakuje koordynacji inwestycji, zdrowego rozsądku i zwykłej pokory wobec codziennych potrzeb ludzi, którzy każdego dnia próbują po prostu dojechać do pracy, odwieźć dzieci do szkoły czy wrócić do domu.

Najbardziej niepokoi jednak narastające poczucie, że głos mieszkańców przestaje mieć znaczenie. Zamiast rozmowy coraz częściej słyszą, że „tak musi być”, że „świat idzie w tym kierunku” i że powinni po prostu przyzwyczaić się do kolejnych utrudnień. Jakiś arogancki urzędnik mówił nawet o „wychowywaniu” mieszkańców. A przecież rolą samorządu jest rozwiązywanie problemów i służenie ludziom.

Warszawa zasługuje na rozwój. Ale rozwój nie może oznaczać permanentnego chaosu, coraz większych korków i poczucia, że miasto wymyka się spod kontroli. Każda kolejna źle skoordynowana inwestycja, każde następne zwężenie ulicy i każda decyzja podejmowana bez rzeczywistego dialogu z mieszkańcami pogłębiają przekonanie, że stolica jest zarządzana coraz gorzej.

Coraz więcej warszawiaków ma poczucie, że zamiast gospodarza mają administrację przekonaną o własnej nieomyślności, która oczekuje od mieszkańców przede wszystkim cierpliwości i dostosowania się do kolejnych utrudnień. Tak rodzi się frustracja. Tak rodzi się przekonanie, że władza przestaje słuchać ludzi.

Czy właśnie dlatego coraz częściej wraca dziś temat referendum? To pytanie każdy musi zadać sobie sam. Ale być może warto pomyśleć o odpowiedzi nie podczas kolejnej debaty politycznej ani przeglądając media społecznościowe. Warto pomyśleć o niej jutro rano – stojąc w kolejnym korku. I warto odtworzyć sobie w internecie posiedzenie Rady Warszawy z 25.06.2026 r. – właśnie tak, całkowicie w nosie, mają nas władze Warszawy. Arogancja i buta a do tego poczucie całkowitej bezkarności. Posłuchajcie sobie Państwo, zamiast po raz kolejny bezmyślnie powtarzać, że trwa „pisowska polityczna nagonka”.

STANISŁAW SKIBIŃSKI

Odporność miasta zaczyna się od bezpieczeństwa

Warszawskie metro od lat uchodzi za jeden z najbezpieczniejszych środków transportu w Polsce. Ostatnie wydarzenia pokazują jednak, że warto zadać kilka niewygodnych pytań. Nie po to, by siać panikę, lecz po to, by wyciągnąć wnioski, zanim dojdzie do sytuacji naprawdę niebezpiecznej.

Najpierw wszyscy oglądaliśmy nagrania z zamalowanego pociągu metra. Grupa sprawców przez dłuższą chwilę dewastowała skład i nikt nie był w stanie skutecznie zareagować. Teraz okazuje się, że pojedyncza osoba mogła wtargnąć do tunelu, doprowadzając do wyłączenia aż dziesięciu stacji pierwszej linii metra. To nie są już pojedyncze incydenty, które można zbyć wzruszeniem ramion. To sygnały ostrzegawcze, że system bezpieczeństwa warto poddać poważnej refleksji.

Skutki mieszkańcy odczuli natychmiast. Na Ursynowie i Mokotowie rozegrały się sceny, których nikt nie chciałby oglądać w XXI wieku. Tłumy na przystankach, przepełnione autobusy zastępcze, ścisk, nerwowe próby dostania się do kolejnych pojazdów, wielominutowe opóźnienia i ludzie, którzy zwyczajnie nie byli w stanie dotrzeć na czas do pracy czy na ważne spotkanie. Dantejskie sceny po zatrzymaniu kursowania metra powinny być dla władz Warszawy

sygnałem alarmowym.

Najważniejsze pytanie brzmi jednak inaczej. Skoro jeden człowiek potrafi wtargnąć do infrastruktury krytycznej i sparaliżować znaczną część pierwszej linii metra, to co stałoby się, gdyby zamiast wandalą pojawił się ktoś o znacznie gorszych zamiarach? W zamkniętej przestrzeni metra pasażerowie są praktycznie bezbronni, a każda minuta reakcji służb może mieć kluczowe znaczenie.

Paradoks jest uderzający. Z jednej strony pozostawiony na peronie plecak czy torba potrafią uruchomić kosztowne procedury bezpieczeństwa i sparaliżować ruch. Z drugiej dochodzi do wtargnięć do tuneli czy aktów wandalizmu, które każą zadać pytanie, czy system ochrony rzeczywiście jest tak szczelny, jak powinien.

Ostatnie wydarzenia ujawniły również jeszcze jeden problem. Od lat ogranicza się przepustowość ulic i liczbę miejsc parkingo-

wych, zachęcając mieszkańców do rezygnacji z samochodów na rzecz komunikacji miejskiej. Sam kierunek wzmacniania transportu publicznego jest zrozumiały, jednak odporne miasto nie może uzależniać się od jednego środka transportu. Gdy zawodzi kręgosłup komunikacyjny Warszawy, tysiące ludzi zostaje praktycznie bez alternatywy. Część mieszkańców mogłaby w takiej sytuacji skorzystać z własnych samochodów, odciążając autobusy zastępcze i pozostawiając w nich miejsce tym, którzy rzeczywiście nie mają innego wyboru. Miasto odporne na kryzysy to miasto, które daje mieszkańcom wybór, a nie odbiera kolejnie możliwości przemieszczania się.

Warszawa przeznaczona na transport publiczny ogromne środki. Przy takich nakładach mieszkańcy mają prawo oczekiwać nie tylko nowoczesnego taboru i nowych inwestycji, lecz przede wszystkim niezawodności, skutecznej ochrony infrastruktury oraz procedur awaryjnych, które pozwolą ograniczyć skutki podobnych zdarzeń. Bezpieczeństwo infrastruktury krytycznej nie może kończyć się na deklaracjach ani na procedurach uruchamianych wyłącznie wtedy, gdy ktoś pozostawi na peronie bagaż.

Nie chodzi o podważanie sensu istnienia metra ani komunikacji zbiorowej. Wręcz przeciwnie. Metro pozostaje jednym z najbezpiecz-

niejszych i najważniejszych elementów warszawskiego systemu transportowego. Właśnie dlatego standardy jego ochrony powinny być najwyższe. Ostatnie wydarzenia pokazały, że w tym obszarze wciąż pozostaje wiele do zrobienia. Warszawiacy mają prawo oczekiwać, że infrastruktura krytyczna będzie zabezpieczona w taki sposób, aby podobne incydenty należały do wyjątków, a nie stawały się kolejnymi sygnałami ostrzegawczymi.

Ostatnie zdarzenia powinny stać się impulsem do szerszej dyskusji o odporności Warszawy. Współczesne miasta muszą być przygotowane nie tylko na codzienne funkcjonowanie, ale również na sytuacje nadzwyczajne – awarie, akty wandalizmu, katastrofy techniczne czy zagrożenia o charakterze terrorystycznym. Odporność miasta mierzy się właśnie tym, jak szybko potrafi wrócić do normalnego funkcjonowania i jak skutecznie chroni swoich mieszkańców w sytuacjach kryzysowych. To wymaga nie tylko inwestycji w infrastrukturę, lecz także regularnych audytów bezpieczeństwa, sprawnych procedur oraz budowania alternatywnych scenariuszy działania. Bo bezpieczeństwo nie zaczyna się w chwili kryzysu. Ono zaczyna się znacznie wcześniej – na etapie planowania, przewidywania zagrożeń i eliminowania słabych punktów systemu.

PAULINA PORAJ



- **Opinia autorytetu prawniczego w wielu przypadkach ma wpływ na ostateczny kształt decyzji, czy też orzeczenia sądu.**
- **Sporządzenie opinii musi być poprzedzone identyfikacją problemu prawnego, dzięki czemu staje się możliwe wypracowanie precyzyjnego pytania prawnego, które ma być przedmiotem opinii.**
- **Opinia prawna służyć może do oceny ryzyka prawnego, opracowania strategii procesowej, a także wskazania najlepszych prawnych rozwiązań.**
- **Jeżeli potrzebujesz opinii prawnej napisz do nas lub zadzwoń – po dokonaniu wstępnej analizy sprawy, zaproponujemy warunki realizacji zlecenia oraz wycenimy usługę.**

biuro@akka.waw.pl • tel. 785 73 07 03



Czy Warszawa jest gotowa powiedzieć „dość”?

Referendum będzie testem nastrojów mieszkańców

Maciej Wilk rozpoczął przygotowania do Stołecznej Operacji Referendalnej (SOR), której celem jest doprowadzenie do referendum w sprawie odwołania władz Warszawy. Organizatorzy chcą w ciągu 60 dni zebrać ponad 132 tysiące ważnych podpisów mieszkańców. W praktyce oznacza to konieczność zgromadzenia około 150 tysięcy podpisów, ponieważ część z nich zawsze odpada podczas weryfikacji. To ogromne przedsięwzięcie logistyczne, wymagające zaangażowania setek wolontariuszy i dużej mobilizacji społecznej.

Samo zebranie podpisów będzie jednak dopiero początkiem. Znacznie trudniejsze okaże się doprowadzenie do frekwencji, od której zależy ważność referendum. Przepisy są jednoznaczne – do urn musi pójść co najmniej trzy piąte liczby osób uczestniczących w wyborze odwoływanego organu. W przypadku Warszawy oznacza to konieczność zmobilizowania kilkuset tysięcy mieszkańców. Historia pokazuje, że właśnie ten próg jest największą przeszkodą dla każdej inicjatywy referendalnej.

Warszawiacy dobrze pamiętają referendum z 2013 roku dotyczące odwołania prezydenta Hanny Gronkiewicz-Waltz. Było ono w dużej mierze efektem ostrego sporu politycznego oraz narastającej krytyki sposobu zarządzania miastem. Coraz częściej pojawiały się również pytania dotyczące reprivatyzacji, która w kolejnych latach urosła do rangi jednego z największych kryzysów w historii stołecznego samorządu. Ostatecznie referendum zakończyło się niepowodzeniem nie dlatego, że większość głosujących opowiedziała się za pozostawieniem prezydenta Warszawy na stanowisku. Zabrakło wymaganej frekwencji.

Dzisiejsza sytuacja jest jednak inna. Minęło ponad dziesięć lat i zmieniła się sama Warszawa. Do stolicy przybyły setki tysięcy nowych mieszkańców, powstały całe osiedla, zmieniły się potrzeby miasta i oczekiwania warszawiaków. Nie zmieniło się natomiast jedno – środowisko sprawujące władzę. Choć zmieniały się nazwiska prezydentów, Warszawą nieprzerwanie rządzi ta sama

formacja polityczna. Coraz więcej mieszkańców zadaje więc pytanie, czy po blisko dwóch dekadach nie wyczerpał się dotychczasowy model zarządzania stolicą.

To właśnie odróżnia obecną inicjatywę od tej sprzed lat. Wówczas osią sporu była przede wszystkim reprivatyzacja oraz polityczna rywalizacja. Dziś niezadowolenie ma znacznie szerszy charakter. Nie dotyczy jednej afery ani jednego problemu. Jest sumą wielu doświadczeń mieszkańców, którzy coraz częściej mają poczucie, że Warszawa przestała być zarządzana z myślą o nich.

Powracają te same zarzuty: niegospodarność przy wydatkowaniu publicznych pieniędzy, kosztowne inwestycje budzące kontrowersje, problemy miejskich szpitali, chaos komunikacyjny, zwężanie ulic i likwidacja miejsc parkingowych bez zapewnienia realnych alternatyw, a także sposób prowadzenia dialogu z mieszkańcami. Coraz częściej pojawia się również przekonanie, że władze dzielą warszawiaków na tych, których głos jest wysłuchiwany, i tych, którzy mają jedynie zaakceptować gotowe decyzje.

To poczucie nierównego traktowania staje się dziś jednym z najczęściej powracających tematów. Wielu mieszkańców odnosi wrażenie, że priorytetem stają się oczekiwania wąskich, dobrze zorganizowanych środowisk, podczas gdy codzienne problemy zwykłych warszawiaków – dojazd do pracy, dostęp do parkingów, funkcjonowanie szkół, przychodni czy komunikacji miejskiej – schodzą na dalszy plan. Narasta również przekonanie, że zamiast rozmowy coraz częściej spotykają się

z arogancją i przekonaniem władz o własnej nieomyślności.

Czy Stołeczna Operacja Referendalna ma szansę powodzenia? Trudno dziś przesądzać. Historia uczy pokory. Referendum z 2013 roku pokazało, że nawet duże emocje społeczne nie gwarantują sukcesu. Z drugiej strony dzisiejsza Warszawa jest już innym miastem niż trzynaście lat temu. Zmieniła się struktura mieszkańców, zmieniły się oczekiwania wobec samorządu i zmieniła się skala problemów, z którymi na co dzień mierzy się stolica.

W „Warszawskiej Syrence” z życzliwością patrzymy na każdą obywatelską inicjatywę, która oddaje głos mieszkańcom. Referendum nie jest bowiem narzędziem walki politycznej, lecz jednym z fundamentów demokracji lokalnej.

Nieprzypadkowy był również moment ogłoszenia Stołecznej Operacji Referendalnej. Maciej Wilk przedstawił inicjatywę podczas sesji Rady Warszawy zwołanej w związku z sytuacją w Szpitalu Południowym. Debata, która miała dotyczyć funkcjonowania jednej placówki medycznej, bardzo szybko przerosła się w szerszą dyskusję o sposobie zarządzania miastem. Dla inicjatorów referendum była to okazja do pokazania, że problemy warszawskiego samorządu nie ograniczają się do jednego szpitala czy jednej afery, lecz mają charakter systemowy.

Sam Szpital Południowy stał się symbolem znacznie szerszego zjawiska. Pytania o wielomilionowe wynagrodzenia, organizację pracy Szpitalnego Oddziału Ratunkowego,

nadzór właścicielski i odpowiedzialność władz miasta zbiegły się z wcześniejszymi kontrowersjami dotyczącymi komunikacji, inwestycji drogowych czy polityki przestrzennej. W efekcie coraz więcej mieszkańców zaczyna postrzegać te sprawy nie jako odrębne incydenty, lecz jako kolejne przykłady tego samego modelu zarządzania.

To właśnie dlatego referendum może okazać się czymś więcej niż próbą odwołania władz miasta. Będzie przede wszystkim testem społecznego zaufania. Odpowie na pytanie, czy niezadowolenie, które od miesięcy narasta w debacie publicznej, rzeczywiście przekłada się na gotowość mieszkańców do działania. Samo zebranie podpisów pokaże skalę społecznej mobilizacji. Ewentualne referendum – jeśli do niego dojdzie – stanie się natomiast najbardziej wiarygodnym sprawdzianem tego, jak warszawiacy oceniają blisko dwie dekady rządów tej samej formacji politycznej w stolicy.

Wbrew temu, co już dziś próbują nam wmówić niektóre polityczne autorytety, to referendum nie będzie wyłącznie kolejną odsłoną wojny między Platformą Obywatelską a Prawem i Sprawiedliwością. Oczywiście polityki nie da się z tego całkowicie wyeliminować i nie warto udawać, że będzie inaczej. Ale jeśli sprowadzimy decyzję mieszkańców wyłącznie do odpowiedzi na pytanie „czy jestem za PO, czy za PiS”, wylejemy dziecko z kąpielą. Referendum ma dotyczyć przede wszystkim jakości zarządzania Warszawą. Trudno zrozumieć postawę ludzi, którzy są gotowi godzić się na coraz większy chaos komunikacyjny, niegospodarność, zaniedbania i lekceważenie mieszkańców tylko dlatego, by bronić środowiska politycznego, które od blisko dwóch dekad sprawuje władzę w stolicy. Partie polityczne się zmieniają. Warszawa zostaje. I właśnie z perspektywy interesu miasta, a nie partyjnych emocji, warto będzie odpowiedzieć sobie na pytanie, czy obecne władze wciąż zasługują na zaufanie mieszkańców.

KAROL GOTTLIEB